

Mieczysław Mełnicki. Chłopak, który lubił jeździć konno

data aktualizacji: 2019.02.19 autor: Włodzimierz Szczepański



Mieczysław Mełnicki, dzikiej legenda. Wygrał blisko 1700 gonitw. Z żoną Ewą znaleźli swojej miejsce w Łubnie pod Żyrardowem (Fot. Włodzimierz Szczepański)

Ten starszy, skromnie ubrany mężczyzna swoim sposobem bycia nie zdradza, że jest legendą. W swojej karierze nie poddał żadnego wyścigu, chociaż wielokrotnie próbowano go przekupić. Widział niejednego upadek z powodu hazardu. Otarł się o zarobki, które nawet obecnie wprawiają w oszołomienie. Nie zdradza tego też jego dom pod Żyrardowem. Tym bardziej Mieczysław Mełnicki intryguje.

Furtkę do bramy obejścia w Łubnie otwiera Ewa Sałtrukiewicz, żona pana Mieczysława. Obok widać ogródek. Na rabacie kołyszą się ogromne liście dyni.

- To kabaczki - prostuje gospodyni.

Ogród to jej królestwo. Zadziwiająco wszystko tutaj rośnie mimo piaszczystej ziemi. To podobno zasługa końskiego obornika.

- W Warszawie nie ma co robić. Tutaj nie można się nudzić. Pochodzę ze wsi dlatego dobrze się tutaj czuję - opowiada.

Dojeżdża do stolicy pociągiem, do sklepu jeździeckiego, gdzie pracuje. Tam przed laty poznała Mieczysława.

- W sklepie stopniowo wchodziłam w świat jeździectwa. Im bliżej poznałam, tym bardziej mnie ciekawił - przyznaje.

Ze stołu zdejmuje słoiczki świeżo zaprawionych pomidorów. Pan Mieczysław pierwszy wyciąga rękę na przywitanie. Wita się i zaprasza do stołu. Porusza się żwawo. Chociaż ma już 80 lat.

- Przez przypadek trafiłem na to gospodarstwo w Łubnie. Szukałem miejsca dla moich koni i na spędzenie emerytury - opowiada historię osiedlenia się pod Żyrardowem.

- Długo szukałeś odpowiedniego miejsca - wtrąca jego żona.

Nim tutaj osiadł, objechał świat. A z Polski wyjechał, bo w kraju nie było dla niego przeciwników.

Chudy na oklep

Mieczysław pochodzi ze wsi pod Toruniem, z Gronowa, ale w latach 50-tych jego rodzina przeprowadziła się na Żuławy. Ojciec wypatrzył tam gospodarstwo.

- Przeprowadziliśmy się w środku zimy. Tymczasem wiosną okazało się, że jesteśmy niemal otoczeni rozlewiskami - wspomina ze śmiechem.

Jego ulubionym zajęciem była praca przy koniach. Wynajmowany był do żniw.

- Miałem 15 lat, a ważyłem zaledwie 35 kilogramów. Dlatego sadzali mnie na oklep, abym prowadził parę koni przy maszynie do koszenia - opowiada.

Wyrywał się nawet do bronowania. Godzinami chodził za parą koni. Przyznaje, że miał dniówkę większą niż jego ojciec. Dodaje: - Kiedyś w przerwie odpoczywałem z sąsiadem na rowie. I on powiedział: - Ty Mietek na wyścigi konne byś się nadawał. Mały, lekki jesteś.

Okazało się, że sąsiad wcześniej pracował na torze wyścigów konnych we Wrocławiu. Trenerem tam był jego brat. Opowieść rozpała wyobraźnię chłopaka. Sąsiad obiecał zabrać go na tor. Tylko Mieczysław musiał tylko przekonać rodziców. Długo się nie zgadzali.

- Do Wrocławia jechałem pociągiem. 10 godzin. To była moja pierwsza podróż pociągiem - mówi.

Sąsiad bał się wracać

Gdy młody Mietek zobaczył konie stwierdził, że nie wraca do domu. Sąsiad wymógł na nim powrót. Bał się, co powiedzą rodzice chłopaka, gdy wróci bez niego. Trener także nie chciał wypuścić Mieczysława na Żuławy. Chłopak wrócił na chwilę, przekonał rodziców, że on musi do Wrocławia. Pierwszy zgodził się ojciec. W końcu też uległa matka. Bała się, że syn się połamie. Był przecież taki mały.

- Przyjechałem do Wrocławia sam. Poszedłem na przystanek tramwajowy. Musiałem wsiąść w 17-tkę. Tylko nie wiedziałem, w którą stronę. Wstydziłem się zapytać. Człowiek, był taki... nieobyty wtedy. W końcu odważyłem się i zapytałem starszą kobietę - śmieje się jakby z nieśmiałości młodego Miecia.

Przepracował rok i trener dopuścił go do pierwszego wyścigu. Przegrał, ale tylko o głowę. W następnym wyścigu był już pierwszy. Tak zaczęło się pasmo zwycięstw.

- Niech pan sobie wyobrazi koń pędzi 60 km na godzinę. Obok jest 15-tu innych zawodników. Trzeba ich wyminąć - w głosie czuć emocje.

Dzokeje mdleli. On nie

Miał predyspozycje do tego sportu. W wieku 20 lat. Ważył 49 kg i miał 158 cm wzrostu.

- Ja mogłem najeść się do syta, co przekładało się podczas zawodów na wytrzymałość i refleks. Tymczasem ciężsi zawodnicy przed startem odchudzali się, aby zbić wagę. Nie jedli 3-4 dni. Na saunie usiłowali wypocić czy też dużo biegali. Wyścig to również wysiłek dla dzokeja. Nie jeden tak osłabiony jeździec omdlewał - wyjaśnia.

Z czasem doszły też umiejętności. Chociażby podczas wyścigu nie można tylko zmuszać konia batem do wysiłku.

- Bo można go wystraszyć i nie będzie chciał biec szybciej. Trzeba wyczuć moment, kiedy należy dać mu oddech - tłumaczy.

Wrocławski trener poradził mu, aby mimo kolejnych zwycięstw nie jechał do Warszawy. Meńnicki dostał propozycję przejścia. Trener uważał, że Mieczysław powinien lepiej się przygotować. po roku, któregoś dnia leżąc na łóżku, stwierdził, że nigdy nie widział Warszawy. Doszedł też do wniosku, że chce ją zobaczyć. Na warszawskim Służewcu zmierzył się już z jeździecką elitą. Wkrótce zdobył tytuł najlepszego dzokeja Warszawy. Najważniejszym laurem był dla niego słowa uznania starszego kolegi, który mu pogratulował. I dodał, że będzie najlepszy, o ile będzie się szanował. Meńnicki zapewnia, że tej dewizy się trzymał.

- Wyścigi były dla mnie najważniejsze. Nie raz odmawiałem, gdy koledzy proponowali wyjście do knajpy. Nie raz widziałem, jak świetni jeźdźcy się staczali. Sprzedawali swój wyścig. Przychodzili do mnie i też proponowali kilka tysięcy. Namawiali, abym celowo przegrał, obstawiający wyścigi, ci wtajemniczeni, zgarnęliby fortunę. Mówiłem, czy milion mi dasz? Bo taniej się nie sprzedaje. Zrobili oczy ze zdziwienia i już nie przychodzili. Bo jak się człowiek sprzeda to droga donikąd, do upadku. Zdarzało się, że lądowali w Wiśle, bo obiecali sprzedać wyścig, ale coś poszło nie tak. Obstawiający nie mogli wybaczyć straconych pieniędzy - opowiada.

Wkrótce do Mełnickiego przyłgnęło porzekadło, że „na świni wystartuje i wygra wyścig”. W ciągu 30-letniej kariery wygrał blisko 1700 gonitw.

- Miałem przy tym szczęście. Bywało, że podczas wyścigu koniowi pękało serce, czy łamał nogi. Spadałem z niego. Widownia już krzyczała, że po mnie, a ja się tylko przeturlałem między galopującymi końmi i nie miałem poważniejszych obrażeń - dodaje.

Milion dolarów, którego nie żałuje

W końcu zapragnął wyjechać dalej. Prosił znajomego, aby ten załatwił mu robotę w Niemczech. Podczas kolejnych startów w Berlinie, czy Wiedniu Mełnicki zaczął poznawać tamtejsze środowisko jeździeckie. Znajomy ciągle zapominał załatwić mu pracę. Po startach w Kolonii podszedł do Mieczysława jeden z tamtejszych zawodników. Zaczęli rozmawiać. Następnego dnia dostał od niemieckiego trenera zaproszenie. Bez zaproszenia nie mógłby wyjechać z kraju. Dostał nawet pieniądze na podróż. Kilka lat mieszkał na emigracji. Podczas zawodów w Belgii zaskoczył wszystkich zwycięstwem na słabym koniu.

- Zaproponowano mi milion dolarów i kilka koni do treningu. Nie zgodziłem się - kwituje krótko.

Odpowiadała mu w Kolonia i liczył się z powrotem do kraju. Jest jednak coś, czego żałuję.

- Latałem do Nowego Yorku. Startowałem na wyścigach, Żałuję, że nie spróbowałem tam kariery. Z czasem sprowadziłem rodzinę - mówi.

Chłopięca szczerść

Wychodzimy z domu. Mijamy starą drewnianą stodołę. Daleko ciągnie się pastwisko, aż po linię lasu.

-Tutaj wszystko sam zrobiłem. Wyremontowałem dom, rozbudowałem stajnie - mówi z dumą na równi z największymi sukcesami.

Po 30-latach uczestniczenia w wyścigach podjął decyzję, że czas na bycie trenerem. Długo trzymał konie na Służewcu. Teraz kolejny etap. Emerytura, na której pan Mieczysław wciąż pracuje. Hoduje konie. W cięższych pracach pomaga mu sąsiad. Mełnicki bez najmniejszego strachu podchodzi do konia. Wierzchowic reaguje na jego wołanie.

- Ja po prostu lubiłem jeździć na koniach - wyznaje z chłopięcą szczerścią.

Źródło: <https://zyrardow.eglos.pl/aktualnosci/item/30955-mieczyslaw-melnicki-chlopak-ktory-lubil-jezdzic-konno>